

DO galicyjskiego paścianka ma zjechać sam ksiądz z Wiednia, poznany przez jego sąsiadkę „u wód”. Galicyjski zaścianek odrzuca precz wszelkie troski i codzienne zabiegi, zapomina o lokalnych zawiściach, małych intrygach, o matrymonialnych i sercowych sprawach, ażeby się przystroić kolorowo na godne przyjęcie pana z zagranicy. Galicyjski zaścianek — jak jeden mąż, bez różnicy: starzy, średni, młodzi — przyobleka się w odświętność, podziw, uniżenie; kilkumetrowy słucki pas obwiązany wokół szlagońskich „kibici” zaczyna pełnić zgoła niepodobną rolę; nie wiedzieć czemu zdaje nam się, że zza kontusza prześwituje krajka lokajskiego fracka. Tylko biedny grubas-safanduta, sepleniący maturzysta Leonidas, latorośl Kwaśkiewiczów, pęta się w tym odświętnym rozgardiaszu tam i sam, coś bełko-cząc. Jest naładowany hasłami bratania się z ludem, ale ludu w tej sztuce nie ma. Tylko on, nieprzemakalny, entuzjastmoodporny Leonidas — wykrzywiona do grymasu farsy prefiguracja Pana Młodego z „Wesela”, kpi sobie z ogólnego ferworu, na wszelki wypadek trzymając się blisko sukni „mamecki”. On jest jak kukła, jest jeden. Wyczuwa się, że ta postać, ledwie naszkicowana w tekście Bałuckiego, w

przedstawieniu ma pełnić rolę klucza do odczytania głębszego sensu sztuki. (Służą temu celowi także wkomponowane fragmenty z wcześniejszej komedii pt. „Sąsiedzi”). Klucz ten byłby znakomity w swojej wymowie na „nie”, w swojej przekorności. Jest tylko jedno małe „ale”, ot drobnostka: do tego klucza nie istnieją drzwi, kroczeniu kolorowych kontuszy co i raz brakuje sukna. Pomyślany w równej mierze przez reżysera, co scenografa retusz rozłożenia akcentów — trafia więc w próżnię. Kluczowe sceny, z których reżyser chce uczynić — i w miarę możliwości, jakich tekst mu dostarcza, czyni — środek ciężkości sztuki, rozplywają się w masie niewybrednej satyry. Powierzchnowej charakterystyki postaci rysowanych dość grubą kreską. W bekształtowości ataku, zdradzającej wszystkie kompleksy krakowskiego miłośnika wobec bankrutującej, ale wciąż buśnej szlachty. Właściwie nie wiadomo, z jakich pozycji atakuje Bałucki tę odchodzącą w przeszłość warstwę: z pozycji pozytywisty? Więc dlaczego te zjadliwości pod adresem młodego Lechickiego, pragnącego uprzemysłowić i zagospodarować w nowoczesnym duchu posiadłość papy? Z pozycji wewnętrz-szlachectkich? (chłoscząca satyra ukazująca wady, by tym rychlej nastąpiła

LEONIDAS Z PROWINCJI

poprawa). Więc skąd ten zrezygnowany szlagon pesymista, jak pozytywka wygrywająca memento, zgłaszający w regularnych odstępach czasu votum sceptycyzmu absolutnego pod adresem możliwości swej warstwy? Z pozycji trzeźwego realisty, który dostrzega mialkość i sentymentalizm chłopomanii, uosobionej w młodocianym Kwaśkiewicz-czu? Może, ale jeżeli tak, to dlaczego robi z Leonidasa sepleniącego kretyna, którego nikt nie jest w stanie traktować jako partnera w ewentualnej dyskusji... Zgodnie z logiką konstrukcji utworu scenicznego — a tutaj autorowi zrzeczności odmówić nie sposób, czy zarzucić nieopanowanie rzemiosła — do dyskusji takiej po prostu nie dochodzi. Trudno zaiste z Bałuckiego, choćby się wzięło na warsztat

„Ciężkie czasy” i skomponowało je z fragmentami „Sąsiadów” w nową oryginalną całość teatralną — wykrzesać spektakl będący satyrą na narodowe wady. Wady ciągnące za sobą długą tradycję. Znajdujące swoje przedłużenie wczoraj i dziś.

Dzieje się tak pewnie dlatego, że autor nie przejął się do głębi żadnym z problemów i nie określił własnego wobec nich stanowiska. Utrwalił tylko — chwilami z inteligentnym przeblyskiem, z osobistą pasją — anachroniczny obyczaj odchodzącej warstwy. Ukazał jak — aby utrzymać się na powierzchni — wyczynia ona śmieszne grymasy, gesty, uparczywie chwytając się zalegających już naftaliną cech, czyniąc z nich broń. Ale u Bałuckiego to nie jest tragiczne, to jest tylko śmieszne. To jedynie bawi,

nie potrafi poruszyć, bo do autora także przemówił tylko „kostium”, i widz to czuje. Bałucki znajduje się niejako na zewnątrz, nie wewnątrz spłotu tych przecież skomplikowanych i gorzkich spraw. Nie ma w jego postawie nic z owego rozdarcia, jakie zrodziło dzieła wielkich romantyków, Wyspiańskiego, czy wybiegając w dalszą a nam bliską przyszłość — literaturę inteligentkich obrachunków, „polską szkołę” w filmie. Dlatego — mimo wysiłków twórców spektaklu, którzy zdobyli się nie po raz pierwszy zresztą na daleko idącą inwencję — powstało tylko dobre przedstawienie. Powstał spektakl jedyny w so-czystości rysowania typów, którym aktorzy dodali wiele życia (niczym wszakże widza nie zaskakując). Spektakl piękny wizualnie, co także nie jest nowością w tym teatrze, skomponowany z gustem, „smaczny”. Ale i skłaniający do refleksji angażujących niezbyt odległy a wiecznie aktualny kontekst: do jakiego stopnia wolno reżyserowi realizować własną wizję? W przypadku Bałuckich — w stopniu nieograniczonym. Ich można tylko ulepszyć, pojedrnić, odkurzyć, ekshumować, wlać w zakrzepłe żyły marionetek nieco krwi. Istnieją wszakże wyjątkowe przypadki.

Istnieje przecież ten skarbiec literatury narodowej, te dzieła, w

których wszystko „zaczy”, skąd czerpane symbole kształtują i wyposażają bagaż intelektualny kolejnych pokoleń. Pewne wątki czy akcenty funkcjonują w świadomości ludzi jak szufry do porozumienia się bez zbędnych dopowiedzeń. Przesunięcia akcentów mogą — choć na pewno nie zawsze muszą — okazać się nie tylko gwałtem na autorce, ale gwałtem w współczesnej świadomości ludzi na pewnych wzorach kształconych. Wobec takich pozycji istnieje na pewno kwestia granicy dowolności interpretacyjnej, granicy, której przekraczać nie wolno. Czy można ją wymierzyć? Nie, nie można. Dopiero wtedy wiadomo, gdzie ona jest, kiedy dokonane zostanie jej naruszenie. Istnieje opowiadana na zasadzie anegdoty historia prawdziwa, jak to recenzent „Wesela” Wyspiańskiego napisał, iż w końcu przecież wszystko sprowadza się w tej sztuce do skocznej melodii. Była to ostatnia recenzja teatralna autora. A może wszystko jest tak względne, że powinniśmy sobie za-fundować „Wesele” w takiej właśnie interpretacji, z tą „skoczną-melodią”... „Miałeś, chamię, złoty róg...”

BARBARA KAZIMIERCZYK

Teatr Narodowy „Ciężkie czasy” Michał Bałucki, reż. K. Dejmek, scen. A. Stopka.